EPOKA

TYGODNIK

ROK II | Warszawa, 2 lipca 1933 R. | NR. 27 (40)

Mężowie tragiczni

Gospodarcze bezdroże

Reportaż „Epoki“

Ludzie myśli ubogiej

U progu wieczności

Wydarzenia i dokumenty. Przegląd polityczny. Odgłosy. Najnowsze książki.

AUTORZY: **Wasowski. Garczyński. Kornacki. Waśniewski. Reisler. Krahelska. Lukrec.**

WYDARZENIA I DOKUMENTY

«KOMITET GOŚCINNOŚCI»

Międzynarodową konferencję ekonomiczną w Londynie poprzedziła żywa działalność „Komitetu gościnności", powołanego do życia na czas trwania obrad. Jego zadaniem było zaaranżowanie przyjęć i rozmieszczenie przedstawicieli sześćdziesięciu sześciu państw, którzy wraz z personelem pomocniczym liczą zgórą dwa tysiące osób. Komitet organizacyjny, którego przewodniczącym jest m. John Simon, zapewnił sobie fundusz kilkunastu tysięcy funtów dla przyjęcia przedstawicieli państw z okazałością, godną Wielkiej Brytanji.

12 czerwca — data otwarcia konferencji, orędzie króla. Rząd wydaje obiad dla 600 osób.

14 czerwca — Unja Przyjaciół Ligi Narodów urządza przyjęcie dla wszystkich członków konferencji w rezydencji lorda Aberconway.

17 czerwca. Zkolei król przyjmuje elitę międzynarodową w zamku Windsor.

19 — lunch na cześć delegatów dominjalnych pod przewodnictwem m. Thomasa, ministra dominjów.

Nazajutrz — bankiet, zorganizowany przez zrzeszenia stolicy.. Zkolei — przyjęcie w salonie politycznym lorda Londonderry, bankiet u lorda-majora, szereg wieczorów Izby Gmin, garden-party u lady Astor... Pozatem szereg wycieczek i przedstawień teatralnych.

Prasa Londyna zaopatruje działalność Komitetu gościnności w dwa komentarze. Wskazuje, że wśród coraz liczniejszych pesymistów, pełnych zwątpienia o wynikach konferencji, istnieje grupa osób, ożywionych optymizmem. Są nimi — hotelarze londyńscy.

Jednocześnie prasa życzy konferencji choćby części powodzenia i rozmachu, jakie osiągnął „Komitet gościnności".

ZA KULISAMI »DWORU FÜHRERA«

Wydany w Szwajcarji pamiętnik jednego ze znawców życia partyjnego hitlerowców, Herberta Blanka, stanowi istną „chronique scandaleuse" otoczenia Hitlera.

„...Wśród większości przywódców panuje głęboka, nigdy przez Führera nieuśmierzana, a nawet z rozmysłem podsycana, wzajemna nienawiść. Od czasów Bambergu — Strasser i Goebbels walczyli ze sobą na noże. Każdy z nich nazywa drugiego „potomkiem żydowskim".

...„Dyrektor wydawniczy Amann i naczelny redaktor organu partji Rosenberg, od lat nie utrzymują ze sobą innego kontaktu, jak tylko na piśmie i to za pośrednictwem samego Hitlera. Amann, kolega Hitlera z tej samej kompanji, nazywa Rosenberga nieinaczej, jak „zarozumiałym Baltem", co tamten kwituje „nadętym feldfeblem". W chwilach złego humoru Rosenberg nazywa też Essera, redaktora „Ilustrierter Beobachter" — łgarzem, oszustem i szpiclem żydowskiej „Frankfurter Zeitung". W sąsiednim pokoju poseł bawarski Buttmann zarzuca Streicherowi, że wystawiał fałszywe kwity na podjęte bezprawnie pieniądze partyjne".

Wymownem świadectwem stosunków partyjnych był incydent z kapitanem von Pfefferem. Gen Heinemann, przewodniczący sądu dyscyplinarnego partji, zażądał usunięcia go z partji, za to, iż Pfeffer — jak doniósł jego wróg osobisty Kaufmann, złożył pod słowem honoru fałszywe zeznanie o zadłużeniu podwładnego mu okręgu Westfalji. Hitler zatrzymał Pfeffera, poczem Heinemann wystąpił z partji. W ten sposób Hitler utrzymywał system, w którym osobiste porachunki uniemożliwiały jakąkolwiek poważną koalicję, mogącą zagrozić władzy niepodzielnej Führera. W systemie tym, jak opowiada Blank „Strasser był wrogiem Pfeffera, czemu ten oczywiście zawdzięczał przyjaźń Goebbelsa, Goebbels nie znosił znowu dowódcy okręgu Rhein-Ruhr, Kaufmana, z którego to powodu trzymał się Kaufmanowskiego wroga Galeiterau Terboven etc..."

LUKSUS ZDROWIA

Przebywający w Szwajcarji Michał Choromański (autor „Zazdrości i Medycyny") opisuje w „Gazecie Polskiej" dotknięte kryzysem sanatorja i lecznice chorych na gruźlicę. „W wysokogórskiej kuracyjnej miejscowości Leysin, w której w zimie 1922 r. przebywało około pięciu tysięcy chorych, w 1928 roku była już tylko połowa, obecnie zaś, sądzę, że chorzy liczą się tylko na setki. Jedna po drugiej zamykają się kliniki, luksusowe sanatorja obniżają ceny do połowy, lecz pomimo to zieją pustkami. Bezrobotni lekarze i pielęgniarze tuzinami opuszczają uzdrowisko, aby na nizinach szukać szczęścia i chorych. Lecz i na nizinach chorych jest obecnie dwa razy mniej, niż było jeszcze parę miesięcy temu."

I dalej: „..Gdy patrzę na martwe kolosy sanatorjów, tych fabryk zdrowia, w których gnije bezużytecznie cały inwentarz szpitalny, przeznaczony dla leczenia tysięcy chorych, i gdy, z drugiej strony, wiem o powolnem umieraniu tych chorych w najgorszych warunkach zdrowotnych, — wydaje mi się wówczas, że jestem świadkiem najjaskrawszej ze wszystkich niesprawiedliwości, dziejących się na naszej ziemi."

ROZWODY W CHINACH

Według dawnego prawa małżeństwiego w Chinach kobieta nie mogła nigdy zażądać rozwodu. Mężczyzna natomiast z łatwością go uzyskiwał, gdy wysunąć mógł przeciw żonie jeden z siedmiu następujące chorych na gruźlicę: „W wysokogórskiej kurażonki, zbytnie gadulstwo, złe traktowanie męża, nieuleczalna choroba, błąd zawarty w akcie ślubu.

Większość tych warunków utraciła żywotność już na długo przed wprowadzeniem nowego kodeksu cywilnego z r. 1930, z wyjątkiem dwóch, które wymienia również nowe ustawodastwo, uwzględniające okoliczność nieuleczalnej choroby i zarzut niemoralności.

Według nowego prawa kobiety otrzymują prawo do rozwodu narówni z mężczyznami.

Statystyka miejskiego biura społecznego w Szanghaju podaje, że na ogólną cyfrę 740 rozwodów, przypadających na rok 1932, 626 było umotywowane niezgodnością charakterów, 18 — zniewagami, 7 — trudnościami ekonomicznemi, 124 — niemoralnością.

POD MASKĄ

Traktat Wersalski pozbawił Rzeszę lotnictwa wojskowego. Rząd Rzeszy zajął się wówczas organizacją powietrznej floty handlowej, która mogłaby z chwilą wybuchu wojny spełnić zadanie militarnego lotnictwa. Niemcy stanowczo protestują przeciw zaliczeniu ich samolotów handlowych do powietrznej siły zbrojnej. Tygodnik paryski *Je suis partout* poświęcił obecnie cykl artykułów, który przy pomocy cyfr i fotografji dowodzi, że typ samolotów handlowych, używanych przez Rzeszę spełnia rolę samolotów wojskowych w innych państwach. „Pod nazwą aparatów handlowych, pocztowych i sportowych ukrywa się świetnie wyposażona kolekcja samolotów wywiadowczych, bombardujących i pościgowych."

W pierwszym z cyklu artykułów reprodukuje tygodnik *Je suis partout* fotografje ośmiu samolotów, obsługujących niemieckie linje powietrznej komunikacji osobowo-handlowej. Samoloty tych typów służą celom wojskowym w aeronautyce szwedzkiej, sowieckiej, japońskiej, portugalskiej, holenderskiej etc...

Np. aparat Junkers G. 38, czterosilnikowy, należy do typu wojskowych samolotów japońskich. Jego „potencjalna zdolność bojowa" wyraża się nośnością 5.000 kg. bomb o zasięgu działania 500 km., oraz uzbrojeniem — 8 mitraljez oraz dwóch dział dwucentymetrowych.

Do tego samego rodzaju samolotów bombardujących należą m. in. aparaty J. U. 52, G. 31 Junkers i Dornier D. O. X., którego identyczne dwa modele funkcjonują w awiacji włoskiej — „w wersji wojskowej".

Wymienione samoloty, obsługujące niemieckie lotnictwo, nietylko mogą posłużyć Rzeszy za modele seryjnej produkcji militarnej, lecz w bardzo krótkim czasie mogą same przeobrazić się w aparaty bojowe. „Niemcy posiadają więc lotnictwo bombardujące" — kończy *Je suis partout* swój pierwszy z cyklu rewelacyjnych artykułów, odsłaniających zamaskowane oblicze handlowej floty powietrznej Niemiec.

POSZUKIWANIE NOWEJ RELIGJI

Trzydziestu czterech profesorów, pedagogów i *duchownych* wydało w Chicago manifest nowej religji. Zwie się ona „humanizmem". Celem „humanizmu", głosi odezwa uczonych, „jest stworzenie wolnej powszechności społecznej, w której ludzie cały swój wysiłek dobrej woli i zdrowego rozsądku kierować będą dla wspólnego dobra. Nadszedł czas, wymagający stwierdzenia radykalnych zmian w religijnych wierzeniach całego świata współczesnego. Wiedza i ekonomiczne przekształcenia podważyły dawną wiarę. Religje świata stanęły wobec konieczności dostosowania się do nowych warunków, wytworzonych przez naukę i doświadczenie."

Pod manifestem figurują podpisy wybitnych filozofów, socjologów i teologów amerykańskich, profesorów przodujących uniwersytetów Harvarda, Columbji, Chicago i Pittsburgu. Fakt powstania poważnego ruchu rewizyjnego w dziedzinie religijnej jest tembardziej znamienny, iż rodzi się on w kraju, w którym przed kilku zaledwie laty skazany został w Dayton nauczyciel ludowy za głoszenie „herezji" w postaci teorji Darwina.

MĘŻOWIE TRAGICZNI

Zwolennicy tezy „im gorzej, tem lepiej", mają coraz więcej powodów do zadowolenia. W chwili obecnej mogą powołać się na konferencję londyńską.

Znowu — nauka poglądowa o politycznej scenie międzynarodowej, na której mógłby widnieć napis taki, jak na teatrze szekspirowskim: *Totus mundus agit histrionem*. Znowu — monotonne już kontrasty: pomiędzy gestem a myślą utajoną, pomiędzy decorum zewnętrznem, a grą zakulisową. Znowu wołanie o solidarność, rozwagę, ustępstwo, przy jednoczesnem zaciskaniu wszystkich węzłów gordyjskich politycznego i gospodarczego życia świata. I znowu gra egoizmów nacjonalistycznych, potępianych u przeciwnika, bronionych u siebie.

Jak konferencja „rozbrojeniowa", tak i obecna, gospodarcza, daje obraz politycznego impasu, z którego nie mogą wydostać się błędni rycerze międzynarodowej polityki oficjalnej. Wielomówni, a nic nie mówiący. Ruchliwi, a drepcący na miejscu. A wśród nich — kaznodzieje, prawdziwe widma przeszłości, zabłąkane na terenie dla słów kaznodziejskich jaknajmniej przychylnym.

Może kiedyś historyk oceni konwulsje polityczne naszych ustrojów w dziele o *żywotach mężów tragicznych*. Zaiste — tragicznych. Chociażby bowiem uprzytamniali sobie sztuczność swoich ról, grają tak, jak grać *muszą* tam, gdzie wszyscy wszystkich zwodzą. Muszą udawać, że oto sięgają już po miecz Demoklesa. Muszą budzić wiarę, że mają ręce dość ku temu mocne, że oto już w niedalekiej przyszłości sprowadzą wielką naprawę, która przyniesie ulgę zmaltretowanemu pokoleniu, a zwłaszcza niespokojnym dziś masom ludowym.

Lecz wiara ta z dnia na dzieś słabnie. Za dużo było małych i wielkich konferencyj, które miały „odwrócić kartę dziejów", za dużo decyzyj „historycznych", za dużo chwil „najdonioślejszych", żeby szumne słowa mogły utrzymać swoją moc sugestywną. Rozwiewają się złudzenia narodów. Przez to samo z rąk kierowników polityki światowej wypada jedno z narzędzi, któremi trzymają w szachu opinję zbiorową: zalecane hasło przetrwania traci w ich ustach sens realny, przestaje być nawet politycznym środkiem nasennym. Niemasz sposobu na to, żeby przed każdą międzynarodową konferencją delegatów kilku, kilkunastu, czy kilkudziesięciu państw móc odrodzić zawiedzione nadzieje i rozbudzić wygasłą wiarę, że oto *tym razem* wkroczy się na drogę czynów zbawiennych. Przed obecną konferencją londyńską nie rozlegały się głosy radosnej nadziei, zgromadzeniu temu nie towarzyszy atmosfera optymizmu. Co więcej — nie budzi ono żywszego zainteresowania nietylko w „ludziach z ulicy", ale i wśród sfer światlejszych. I jedni i drudzy zdają sobie sprawę, jaki duch zapanował na politycznych i gospo-

darczych konferencjach delegatów państw. *Duch pozoru i paljatywu.* Pod temi znakami toczą się wszystkie obrady. Pod temi też znakami opracowuje się teksty wniosków, projektów i uchwał. Ten sam duch dyktuje chwilowe porozumienia i pakty, nazajutrz po zawarciu interpretowane tak rozbieżnie, iż można by sądzić, że ze świata mężów tragicznych wymknął się sens logiczny i objektywny słowa.

Korespondenci gazet mają coraz mniej wdzięczne zadanie: czytelnik już nie czeka niecierpliwie na ich wiadomości. Depesze z międzynarodowych konferencyj politycznych i gospodarczych przestały być atrakcją pism. W świadomości czytelnika winna być jednak zachowana jakaś proporcja pomiędzy zapowiedziami, a wynikami owych konferencyj. Skoro tej proporcji niema, skoro tak długo pracowały wszystkie warsztaty złudzeń i zwodzeń, musiała nastąpić reakcja przeciw grze mamideł, tak w dodatku monotonnych.

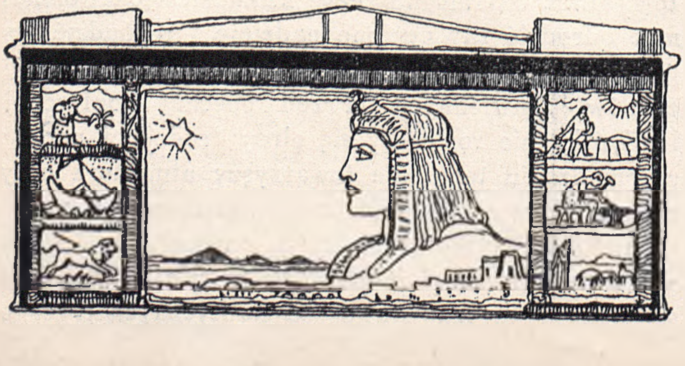
I na tem właśnie polegać może strona pożyteczna tych nieustających konferencyj: demonstruje się tam w sposób najbardziej wymowny i przystępny, że *pozór i paljatyw nie wyprowadzą świata z epoki przełomu.* Nagromadzono dość na to dowodów w Genewie, Lozannie, Waszyngtonie i Londynie. Całe już stosy protokułów i rezolucyj, całe już bibljoteki materjałów kongresowych pouczają o pracy politycznych Danaid.

Jak długo jeszcze będą pracowały? Jak długo jeszcze mężowie tragiczni będą wygłaszali swoje mowy i pisali swoje memorjały, omijające najistotniejsze sprawy naszych czasów — te, które wołają nie o pozór, nie o paljatyw, lecz o *przebudowę społeczną,* o zmiany ustrojowe?

Nie mogą owych spraw najważniejszych nie omijać ci, którzy są tylko przedstawicielami dzisiejszego prowizorjum. Nie mogą grać innej roli, niż ta, jaką wyznacza im reżyserja polityki oficjalnej w końcowych scenach dziejowego dramatu.

Świat myśli przewidującej i dalekowzrocznej widzi inne drogi naprawy życia narodów. Wybiega po za rozdział, pisany dziś przez mężów tragicznych, czyta w księdze przyszłości rozdziały dalsze — o treści rzetelniejszej.

Józef Wasowski



GOSPODARCZE BEZDROŻE

Zagadnienia gospodarcze stały się ośrodkiem zainteresowania społeczeństw. Już nie instynkt, ale bezpośrednia obserwacja mówi nam, że załamuje się podstawa, na której zbudowaliśmy naszą kulturę i cywilizację.

Rozwój komunikacji w połowie ubiegłego stulecia zniósł względną „samowystarczalność", w której z konieczności tkwiły poszczególne państwa. Rozpoczęła się ożywiona wymiana. Rzecz prosta, że wymiana napotykała przeszkody w postaci nierównomiernego rozwoju. Wówczas z pomocą przyszedł system kredytowy.

Jakaś Francja pożyczała jakiejś Rosji pieniądze. Dzięki pożyczce powstawały nowe warsztaty produkcji i wzrastała zdolność zarobkowa ludzi. Rosja stawała się lepszym konsumentem francuskich towarów i więcej swoich towarów mogła w świat wysyłać. Wobec tego, że była bogatsza, dostawała drugą, trzecią i czwartą pożyczkę... coraz większe. Suma pierwszej w porównaniu z następnemi była znikomo małą. Sieć pożyczek takich pokrywała cały świat i nikt nigdy nie myślał o oddawaniu. Gdyby wszyscy wierzyciele wówczas wymówili pożyczki, świat stałby w obliczu tej katastrofy, która dziś się przed nim rozwarła. Dzięki temu systemowi symbol, którym było złoto w bankach państwowych, zwielokrotniał o wiele ponad umowną normę pokrycia.

System ten załamał się po wojnie. Przyczyniło się do tego bankructwo Rosji i deklaracja niepłacenia długów, przyczyniła się również inflacja większości krajów Europy. Wierzyciele zaczęły się zastanawiać nad wypłacalnością dłużników. Rezultat był oczywisty, złoto przestało być symbolem, wielokrotność jego w obrocie była niemożliwą.

Wobec tego, że przypomniano o konieczności oddawania długów, każde państwo dłużnicze zaczęło walczyć o aktywny bilans handlowy. Ujemny bilans stał się zjawiskiem katastrofalnem. Rozpoczęła się orgja podwyżek celnych, racjonalizacji, dumpingu i t. p. ruszyła olbrzymia maszynerja trudności w handlu międzynarodowym. Skutki były oczywiste, obrót towarowy zmniejszył się zastraszająco. Kresem tego zmniejszenia się jest ilość złota powiększona skromnie o nadwyżkę emisyjną.

Stany Zjednoczone dzięki wielkim swym obszarom chciały się wyłamać z przebiegu tej tragedji. Wewnątrz kraju chciały stworzyć system, na którym był oparty świat przedwojenny. Tem był ów niesłychanie szeroko stosowany system sprzedaży na raty, wzrost produkcji, zarobków i możności spłat. Stany zapomniały jednak, że są jednem z ogniw świata. Gdy bankrutował świat i w związku z tem banki amerykańskie zażądały zapłaty od swych klijentów i tutaj prysło złudzenie, że bieg kredytów jest bez kresu. Przyszło do rachunku i „Prosperity" prysła. Rozczarowanie było tem boleśniejsze.

W tej sytuacji poczęto szukać jakiegoś wyjścia. Poczęto szukać, to znaczy człowiek zaczął budować różne koncepcje. Każda taka budowa, niezależnie od swej firmy, była zaprzeczeniem liberalizmu.

Czemże jest liberalizm?

Liberalizm w rzeczywistości stwierdzał, że życie ludzkości jest objawem przyrodniczym. Nie wpływał na nie bezpośrednio, jedynie ostrożnie stwarzał przepisy, regulujące prawa walki o byt. Każde usiłowania, narzucające normy rozwoju, jest zaprzeczeniem liberalizmu.

Liberalizm oparł się o podstawowy instynkt jednostki: chęć zysku, albo lepiej mówiąc, instynkt zabezpieczenia swojej przyszłości, swoich dzieci i wnuków — aż gdzieś potęgowało się to do szeregu pokoleń i wyrastał moloch kapitalizmu. Kapitalizm nie był nieszczęściem. Kapitalista nie spał w dwóch łóżkach i nie jadł z dwóch talerzy. Gdy był rozumny, setki ludzi dokoła niego zarabiało, gdy był oszczędny, pieniądz złożony w bankach, pożyczany, pracował dla rozwoju produkcji. Kapitalista był tylko dysponentem. Jego instynkt działał zawsze w tym kierunku, by oszczędzać teraz w imię budowy jutra.

Przeciw temu protestował wszelki radykalizm. Podnoszenie się materjalnego poziomu mas uważał za zbyt powolne. Wobec tego dążył do doraźnego spożycia. Wzrost płac, ustawodawstwo socjalne, budowa domów, dróg i t. d., to było spożycie, spożycie i jeszcze raz spożycie.

Może ktoś słusznie zauważyć, że przecież ów spożywca coś kupował, a gdy kupował, zarabiała produkcja, czyli obrót powinien był się zwiększyć. Podobna idea przyświecała Fordowi.

Różnica polega na czem innem. Gdy kapitalista posiada skoncentrowane dobra przynoszące rentę, jest to symbol pomyślności, pod który może dostać nową pożyczkę i zwielokrotnić swą działalność. Gdy renta ta skutkiem obciążeń bodaj przejściowo zostanie mu odjęta, jego możność kredytowa topnieje do poziomu kapitału. Kurczą się wówczas warsztaty i maleje spożycie.

Kapitalistyczna rozbudowa przyszłości prowadziła do absurdu, rozbudowa spożycia groziła klęską. Stały konflikt pomiędzy temi dążeniami był błogosławieństwem, gdyż stwarzał zdrowy kompromis. Ten kompromis obecnie się załamał. W związku z katastrofą struktury gospodarczej świata zniknęły prawa, o których utrzymanie walczyli antagoniści. W związku z zanikiem systemu kredytów (niema komu pożyczyć) rentowność zamiera. Robotnik i pracownik nie walczy o wzrost spożycia, lecz broni się przed nieuchronnemi ograniczeniami. Przeciwnicy reprezentują widma przeszłości, niema możliwego kompromisu.

W tej atmosferze wyrasta gospodarka planowa. Cały świat jest ufortyfikowany w nakazy i zakazy, ustawy i rozporządzenia. Ów gąszcz zabił wszelką swobodę ruchu, klauzula największego uprzywilejowania przechodzi do mitologji. Potrzebna jest strategja, aby poruszać się wśród fortyfikacji. Z prawa i z lewa odrywają się apele do państwa o interwencję. Rola rządu olbrzymieje, jego zadania rosną, w szeregach planowości stoją ci, którzy temu przeczą. Powiedzmy, że zgłosili się dobrowolnie, ale zmusiła ich konieczność.

Gdy kurczy się obrót, gdy maleje produkcja, pierwsze ofiary padają wśród najsłabszych. Dziś na pobojowisku zostaje tylko państwo i sprzęgnięte z jego rydwanem kartele. Państwo nakazami podtrzymuje swój obrót, ono wykupuje upadających sprzymierzeńców i jego znaczenie, jako producenta, rośnie.

Śmieszna rzecz: gdy Rosja Sowiecka co chwila w momentach osłabienia skłania się ku ewolucji liberalnej, świat się sowietyzuje. Stoimy w przededniu bankructw budżetów państwowych, których nie ocali żadna inflacja. Hitlerowskie Niemcy pójdą na pierwszy ogień. Potem... potem będzie nędza i oczekiwanie odrodzenia, ale zanim ono nadejdzie, musi prysnąć złudzenie, że człowiek potrafi w całej pełni rządzić ludzkim żywiołem.

Stoimy w obliczu katastrofy naszego świata. Proroctwa są niebezpieczne. Trudno przewidzieć datę, rozmiary i czas trwania klęski. Trudno przewidzieć granice upadku kultury i cywilizacji. Najwięksi fantaści bogatego świata rzymskiego nie potrafiliby narysować wizji średniowiecza. Jedyna pociecha polega na tem, że żyjemy szybciej.

Zaznaczyliśmy na wstępie, że olbrzymi obrót świat zawdzięczał złudzeniom kredytowym, zawdzięczał go rosnącym długom zewnętrznym i wewnętrznym, które nigdy jako całość nie mogły być spłacone, a rozwój polegał na ich wzroście. Wskrzesić złudzenie, to zadanie niesłychanie trudne. O tych możliwościach prędzej powiedziałby nam psycholog, niż ekonomista.

Tadeusz Garczyński

ODGŁOSY

DALEJ PO POCHYŁOŚCI

Zdawałoby się, że rzecznicy interesów kapitalistycznych przypisują znaczenie pozytywne obecnej konferencji gospodarczej w Londynie, która mogłaby usunąć lub choćby złagodzić groźne dla ustroju dzisiejszego anomalje, naprzykład — w kwestji walutowej.

Organ przemysłowców łódzkich, *Prawda*, przypisuje tej konferencji cele zgoła inne. Oto warstwy rządzące, przekonane zgóry o tem, że konferencja skończy się niepowodzeniem, chcą pouczyć masy ludowe, że drogą solidnej współpracy międzynarodowej nie usunie się kryzysu i że współpraca taka nie jest możliwa.

Czytamy w tem piśmie (Nr. 25-ty):

„Po konferencji londyńskiej okaże się, czy przyszedł już czas również i na likwidację demokracji w gospodarstwie międzynarodowem. Konferencja ta przypomina bardzo ceremonję umywania rąk od winy. Szerokie masy ludności zwłaszcza ludności robotniczej, oraz warstwy mieszczańskie, hołdujące nadal światopoglądowi liberalistycznemu, wierzą jeszcze, że międzynarodowa współpraca, oparta na zasadach równości, potrafiłaby uwolnić świat od klęski kryzysu. Tej wiary nie podzielają warstwy rządzące w większości mocarstw. Uważają jednakże, że zanim zastosuje się inne, ich zdaniem skuteczniejsze środki zwalczania kryzysu, trzeba przedtem naocznie wykazać ludom, że współpraca taka jest niemożliwa, i że szkoda czasu na wszelkie próby organizowania jej".

I jeszcze wyraźniej:

„Zadanie wykazania niedorzeczności marzeń o solidarnej, lojalnej i ofiarnej współpracy międzynarodowej w celu uwolnienia świata od kryzysu spełnić ma — jak się zdaje — konferencja londyńska. Jeżeli bowiem skończy się na niczem, to idea międzynarodowej współpracy gospodarczej, planowej i kierowanej przez wzajemne porozumienie wszystkich, straci na długo kredyt. Temsamem rządy odzyskają w dużej mierze swobodę ruchów w wewnętrznej swojej polityce gospodarczej i socjalnej".

A więc — precz z solidarną, lojalną i ofiarną współpracą międzynarodową! W świetle obecnej rzeczywistości gospodarczej i politycznej znaczy to: dalej po pochyłości, szybciej, coraz szybciej — w przepaść!

LUDZIE MYŚLI UBOGIEJ

Skupili się tacy ludzie w redakcji *Myśli Narodowej*. Mętność wywodów, których przykład wzorowy daje redaktor tego tygodnika, Zygmunt Wasilewski, horyzoncik umysłowy coraz mniejszy, brak poczucia rzeczywistości — oto, co składa się na ten pouczający dokument wyjałowionej myśli politycznej.

Myślą tak, jakgdyby nic nowego nie działo się na świecie. Piszą tak, jak pisali przed dziesiątkami lat. Naprzykład (*Myśl Narodowa* nr. 27):

„Położenie Polski polityczne, międzynarodowe i wewnętrzne wysuwa w obecnym momencie na czoło zagadnień chwili kwestję żydowską. Nie tu miejsce na jej obszerne omawianie, tem więcej, że niedawno rzucono już wyczerpujące światło na jej rolę i znaczenie. Kwestja żydowska, wnikająca we wszystkie dosłownie zakątki polskiego życia, dotykająca narówni wszystkie dziedziny naszego bytu i wszystkie warstwy polskiego społeczeństwa, stanie się zagadnieniem, które dzisiejszemu pokoleniu przyjdzie przedewszystkiem rozwiązać w sposób radykalny. Już dzisiaj jednak organizowanie społeczeństwa na platformie tego właśnie zagadnienia, formułowanie programu w jego zakresie wysuwa się jako niemal naczelny postulat chwili".

Ten „naczelny postulat chwili" już się „wysuwał" dziesiątki razy. Przed wojną, podczas wojny i po wojnie. Za czasów niewoli i w latach wolności. Zawsze, jako rezerwa i podnieta, jako dywersja, jako polityczny szantaż.

Ale dziś, w czasach wielkiego przełomu gospodarczego, społecznego i politycznego, wysuwanie kwestji żydowskiej w Polsce „na czoło zagadnień chwili" świadczy już o całkowitej aberacji myśli politycznej.



REPORTAŻ „EPOKI"

W »OLINIE« POD OTWOCKIEM

1. *Twarze na ścianach*

W rozległej sali jadalnej, porozwieszani obok siebie na ścianach patrzą wielcy Polacy i wielkie Polki. Jest Poniatowski i Orzeszkowa, jest Konopnicka i Kościuszko i długi szereg innych kolorowych obrazków, albo fotografij, przedstawiających twarze o trudnych, prawie zawsze nieznanych nazwiskach.

Drukowane twarze na ścianach i żywe twarze przy stołach patrzą na siebie wiele razy dziennie. Mała Irenka siada zawsze tak, żeby być blisko tego pana z czarnemi wąsikami. Tatuś Irenki nie miał chyba nigdy takiego kołnierza ze złotem wyszyciem, ani orderów na granatowej kurtce. Niemniej jednak, nawet jak wrócił ze szpitala z ogoloną głową — to wąsy zostały mu nieobcięte, zostały mu podobne do tego pana na ścianie, który nazywa się Poniatowski i jest ten sam, co to na placu Marszałka siedzi ciągle na koniu. Nie na wozie, ani na dorożce, tylko na koniu. Oficer.

Pani wychowawczyni powiedziała Irence, że to był wielki oficer, że miał na imię Józef i że był księciem. — Książę, to znaczy, że taki, który książki pisze?

— Nie, nie taki, — taki nazywa się pisarz...

— A więc jaki?... co robi książę?

Trudno było dogadać się z panią, co robi książę. Dopiero Janek z piątej grupy splunął pogardliwie przed Irenką, mówiąc, że książę, to jest taki magnat i zaraz począł wyśpiewywać piosenkę, jakiej nauczył się na pochodzie Pierwszego Maja: — O cześć wam, panowie magnaci!...

**
*

Bardziej zrozumiale przedstawia się ta pani na lewo, uczesana nie na garsonkę, ale z kokiem, która nazywa się Marja Konopnicka i już nie żyje, a jak żyła — to kochała biedne dzieci i pisała dla nich wiersze i powiastki z obrazkami. Ponieważ zaraz w parę dni po przyjeździe na kolonje zwiedziały się dziewczynki, że ruda i chuda ośmioletnia Marysia z drugiej grupy nazywa się Konopka, więc też odrazu wołać na nią zaczęły — Konopnicka. Spodobało się to Marysi i w czasie jednego śniadania, między pierwszą a drugą bułką umyśliła sobie, że jak dorośnie — to zmieni nazwisko z Konopka na Konopnicka.

Marysia wie, że można zmieniać nazwiska. Na jej tatusia nigdy nie mówią koledzy, ani różni znajomi, którzy ciągle śpią u niego na łóżku: — Konopka, ale Gimzel, — niby dlatego, że już miał być skazany na Gimzę, czyli na szubienicę, ale nie był i już swoje odsiedział i jest znowu wolny. Z tą zmianą nazwiska poszła nawet Marysia do Pani kierowniczki, a Pani ucieszyła się i powiedziała: „Pewnie, Marysiu, że można zmienić... tylko, widzisz, żeby Konopnicką zostać, na to trzeba być dobrą, bardzo dobrą...

— Być dobrą?... Okrągłe oczka niebieskie patrzą z dołu na twarz Pani kierowniczki i uśmiechają się

i są przymilne, chociaż w tej chwili nie rozumie Marysia, o co Pani chodzi. — Być dobrą?...

Pani kierowniczka o czemś myśli i robi się smutna.

***

Wszystkie twarze wielkich Polek i wielkich Polaków patrzą ze ścian na dzieci i przyglądają się, jak po długiej zimie głodowania jedzą i piją najbiedniejsze dzieci warszawskie. Tylko jeden Kościuszko nie widzi kopiastych talerzy ani żarłoczności, bo oczy zwrócone ma w górę. Któregoś dnia, kiedy deszcz padał na dworze, a namioty zajęte były przez chłopaków, druga grupa dziewczynek przeniosła się po godzinach „poobiedniej ciszy" zpowrotem do jadalni, by tam bawić się, aż do wieczornego mycia. Pani wychowawczyni siadła na podłodze, dziewczynki pokucały obok niej i zaczęły wszystkie śpiewać: „Patrz Kościuszko na nas z nieba". Prześpiewały jedną zwrotkę, potem drugą, aż tu Pani przerywa, do Helki zwraca się i pyta: — A ty dlaczego nie śpiewasz?... Helka zakrywa twarz rękawem i nic nie odpowiada, tylko odchodzi w inny kąt, w ten najdalszy.

Oto jeszcze jeden dowód więcej, że Helka jest dziwna. Chociaż nie ma zupełnego bzika i tylko i tylko trochę jest „nie tego", zaraz jednak każdy odróżni ją od innych dziewczynek, bo nie lubi bawić się z innemi, ale chodzi samotnie i oczy zakrywa rękawem, kiedy patrzeć na nią. Wogóle Helka jest dziwna. W przeciwieństwie do innych dzieci, wcale nie chce jeść razem przy stole, ale bierze bułkę w rękę i nic. Pić, wypije i mleko i zupę, ale prędko i jakoś skrycie i tak, że nikt nie widzi, kiedy opróżniła się miseczka, czy kubek.

W tej chwili stoi smutnie w kącie i nie chce śpiewać z innemi dziećmi. Pani wychowawczyni powstaje z podłogi, idzie do Helki przez całą jadalnię, nachyla się i pyta: — Helka, co ci jest? Czemu nie chcesz śpiewać?

Helka zaczyna płakać i szepce poprzez ramię: — One śpiewają patrz Kościuszko, a ja nie chcę żeby patrzał... On jeden nie patrzy... ach!... on jeden nie widzi... niczego...

Niczego już więcej nie wykrztusiła Helka, ale Pani już wszystko wie. Wie, że Helka potrzebuje spokoju i żeby nikt nie patrzał. Pani nachyla się jeszcze niżej nad Helką i pyta: — Helka, a czy ty chcesz iść na dwa dni do izolatki?

Hekla nie wie, co to znaczy izolatka, ale pani głaszcze ją po głowie i śmieje się dobrym śmiechem: — Nie bój się, zobaczysz, nauczysz się jeść... nikt nie będzie na ciebie patrzał.

2. *Smuga światła*

Zdaje się, że ta metoda, jaką stosuje się do dzieci na kolonjach w „Olinie" przywędrowała do nas z za Oceanu. W każdym razie w Stanach Zjednoczonych oddawna już i na wielką skalę przeprowadza się popularne hasło: „Maksimum komfortu dla najbiedniejszych dzieci". W otwockim „Olinie" w czasie miesięcy letnich, od połowy maja do połowy września robi się, co tylko można, żeby każdej partji dzieci, która przyjeżdża tu z Warszawy na czterotygodniowe wakacje, zapewnić pełną opiekę, czystość i odkarmienie. Każda taka partja czterotygodniowa liczy 200 dzieci, podzielonych na kilka grup, które zasadniczo nie bawią się ze sobą, lecz spędzają czas odzielnie pod opieką osobnych wychowawców. Grupa taka obejmuje zazwyczaj 30 do 40 dzieci, czyli, że każda „partja" podzielona jest na sześć grup, przyczem chłopcy osobno i osobno dziewczynki. Wszystkie dzieci rekrutują się z pośród najbiedniejszych rodzin w stolicy, należy jednak zaznaczyć, że do „Olina" przyjmuje się jedynie dzieci t. zw. „względnie zdrowe".

Nazwa „Olin", wywodząca się od imienia p. Marszałkowej Piłsudskiej, tłomaczy nietylko finansowe podstawy tego zakładu, który pod względem warunków materjalnych jest niewątpliwie unikatem pośród innych „rajów dziecięcych" w Polsce. Wzorowy jest nietylko gmach, położony na krawędzi lasów Otwockich, wzorowe jest nietylko odżywianie dzieci, lecz przedewszystkiem opieka. Na każdym kroku widzi się poważną i serdeczną troskę, by najbiedniejsze dzieci stolicy mogły korzystać w Olinie nietylko z maksimum zdrowotno-odżywczego zaopatrzenia organizmu, lecz przedewszystkiem, żeby wogóle dobrze czuły się w swoim „pałacu", żeby mogły odpocząć psychicznie po wszystkich okropnościach strasznej kryzysowej zimy w barakach.

Rekwizytornia „Olina" wykazuje braki, — mało zabawek, mało książek dla dzieci, brak obuwia. Dla uzupełnienia komfortu przydałoby się wiele — wiele rzeczy, jak: radjo, kino, rowery dla chłopców, lalki dla dziewczynek i t. p. Zapotrzebowanie na ten sprzęt istnieje ogromne, tembardziej jednak podziwiać należy doskonały „żywy sprzęt" zakładu, czyli wychowawców, z kierowniczką p. Heleną Obrębską na czele.

Nie, dzieci rekrutowane do „Olina" — to nie są wcale milusińscy. Można powiedzieć, że tych dzieci wcale nie powinno być na świecie, gdyż ich istnienie jest mnożeniem w nieskończoność nędzy, niesprawiedliwości, cierpienia „za niepopełnienie win". Powie ktoś, żeby najpierw stworzyć w Polsce tysiąc Olinów, —i to nie czterotygodniowych, ale całorocznych, — tysiąc Olinów, a dopiero wówczas dorabiać do nich biedne dzieci. Jeden „Olin" to przecież kropla w morzu, a cztery tygodnie dobrobytu — na kilkanaście lat dzieciństwa w nędzy — to ironja, to bezsens — to okrucieństwo.

Jednakże *są* te dzieci, „których nie powinno być". W Olinie podzielono lato na czterotygodniowe okresy tylko dlatego, żeby jaknajwięcej dzieci mogło z zakładu korzystać. To „jaknajwięcej" — to tysiąc, — do tysiąca dzieci przechodzi przez Olin każdego lata, a cztery tygodnie spędzone w zakładzie — to może jedna jasna smuga życia na tle mrocznego zagłodzonego dzieciństwa. Amerykańscy społecznicy mają zupełną rację, gdy czynią tak, by tę jasną smugę rozświetlić i rozjarzyć jak się tylko da i chociaż na krótko, na mgnienie dać biednym dzieciom — wszystko.

Podotwocki „Olin" — tak ubogi przy swych amerykańskich kolegach — powinien tylko radować.

Jerzy Kornacki



MILCZENIE GERHARTA HAUPTMANA

Wiedeńska „Arbeiter Zeitung" zamieściła list otwarty znanego publicysty, Grosmana, do autora „Tkaczów" — Gerharta Hauptmanna. Oto niektóre wyjątki ciekawego dokumentu:

„Gdy absolutyzm rosyjski sprawował władzę jeszcze w pełni swych sił, Tołstoj cisnął w twarz caratowi oskarżycielskie pismo — „Nie mogę milczeć!" Wiem, mistrzu, że uwielbiasz Tołstoja. Podczas ostatnich miesięcy Niemcy — nie bandy agitatorskie, lecz prawdziwe Niemcy, które cierpią — słyszały twoje milczenie... Jest ono jeszcze jednem z okrutnych rozczarowań, jakie przyniosła z sobą dzisiejsza epoka egoizmu i podłości.

„Nie będę wymieniał nazwisk Twoich starych przyjaciół, wygnanych dziś przez pruskich barbarzyńców... Nie wyrzekł Pan ani jednego słowa w obronie najbardziej oddanego mu reżysera, Maxa Reinhardta.

...„Wygnano z Akademji pruskiej Thomasa Manna, Alfreda Doeblina, Jakóba Wassermana. Pan pozostał u boku Hanne Johsta (autor „Schlageteru") i je—mu podobnych. Spalono książki najbliższych pańskich przyjaciół. Pan — milczał... Pan, który zawsze żądał dla swej twórczości i życia osobistego atmosfery wolności — milczy!

...„Literatura Niemiec zdławiona jest na długo... „Schlageter" Johsta dzięki świetnej organizacji obiega jednocześnie 300 scen niemieckich. Wolny teatr jest uśmiercony. Pan milczy.

...„Jest Pan Ślązakiem. Dziś oddziały szturmowe hulają na Śląsku, gdzie imię twórcy „Tkaczów" cieszyło się zawsze wysokim autorytetem moralnym. Jeśli los bojowników pokoju, Ossietzkego i Schoenaicha, nie wywołał krzyku protestu, czy możliwa jest również obojętność Pana wobec cierpień robotników śląskich?

...„Doszła nas przyjemna nowina. Ukończył Pan w Rapallo nowy dramat, legendę, która rozgrywa się w świecie nadrealnym. Winszujemy Panu pracy spokojnie doprowadzonej do pomyślnego końca. Lecz dramat narodu niemieckiego bardziej nas obchodzi, niż Pańska sztuka.

...„Pan milczy. Czy mamy odpowiedzieć milczeniem na milczenie? Zapomnieniem za zapomnienie? Czy powinniśmy wykreślić z pamięci imię Pana, któ re było nam drogie?"



NAJNOWSZE KSIĄŻKI

PSYCHOLOGICZNE ŚLEDZTWO*)

Jaka tęsknota wygnała szesnastoletniego Conrada Korzeniowskiego z domu jego wuja w Krakowie? Co mu kazało tłuc się po najodleglejszych zakamarkach świata, stawiać czoło burzom i szkwałom wszystkich nieomal mórz i oceanów? Niewiadomo.

Proste przypuszczenie, że powodował się zwykłym romantyzmem i młodzieńczą żądzą przygód, nie rozwikła tajemnicy psychologicznej kapitana marynarki handlowej Jego Królewskiej Mości. Zapewne, że w Conradzie kryje się nielada romantyk i łowca przygód, nie wystarczy to jednak do zrozumienia go, jak nie wystarczy do uchwycenia istoty jego twórczości skonstatowanie, że źródło jej tkwi w poczuciu winy, a może nawet „zdrady", jakiej we własnem mniemaniu dopuścił się względem Polski. Conrad przedstawia sobą indywidualność niezmiernie skomplikowaną, ale w tej jego zawiłości można doszukać się pewnej nici przewodniej. Nicią tą jest niewątpliwie jakaś pasjonująca wprost ciekawość poznania człowieka w jego najróżnorodniejszych typach i postaciach. Kto wie, czy to nie ona rzuciła Conrada na dalekie szlaki wędrówek?

Ledwie sączący się strumyk małomiasteczkowego życia ówczesnego Krakowa nie dawał pola do obserwacji i młodziutki uczeń gimnazjalny zatęsknił zapewne wówczas do wędrówek morskich. Wybraźnia artysty podsunęła mu całe tłumy ludzi różnych ras i języków, a inteligencja, czy też tylko instynkt, podszepnął, że dopiero tam — na morzu — w obliczu żywiołu odsłoni mu się wewnętrzna prawda człowieka w całem pięknie lub grozie. Lata wędrówek Conrada — to lata obserwacji; lata twórczości — to czas porządkowania spostrzeżeń i dociekania prawdy psychologicznej tych ludzi, z którymi losy go zetknęły.

Jeśli udając się na wędrówkę mógł jeszcze Conrad nie zdawać sobie jasno sprawy z tego, co go pcha w szeroki świat, to jego twórczość jest już świadomym wysiłkiem dotarcia do samego rdzenia ludzkiej duszy. Utwory Conrada możnaby nazwać wielkiemi psychologicznemi śledztwami, a świeżo wydany „Lord Jim" jest może pod tym względem najtypowszy.

Prosta i mało skomplikowana fabuła „Lorda Jima", da się streścić w kilku zdaniach. Stary, rozklekotany okręt „Patria", wiozący pobożną pielgrzymkę, został z niewiadomej przyczyny tak uszkodzony, że zdawało się, iż lada chwila zatonie. Kapitan, indywiduum z pod ciemnej gwiazdy, wraz z kilku godnymi siebie kompanami ucieka z okrętu. Jim — marzyciel i fantasta — w ostatniej chwili skacze do łodzi ratunkowej i ocala się wraz z innymi, pozostawiwszy pielgrzymów na łasce oceanu. Wbrew przypuszczeniu „Patrię" uratowano. Śledztwo, wyrzuty sumienia Jima, unikanie ludzi i marzenie o jakiejś okazji, gdzieby mógł jeszcze zabłysnąć, Okazja nadchodzi, Jim staje się duchem opiekuńczym krainy Patusanu i prawdziwym bohaterem. W zetknięciu z bandą włóczęgi i łotra Browna, prze-

*) Joseph Conrad: Lord Jim. Przekład A. Zagórskiej. Warszawa 1933. Dom Książki Polskiej.

grywa i sam wymierza swojej lekkomyślności karę: pada, zabity przez zrozpaczonego ojca, którego syna lekkomyślnie naraził na śmierć.

Conrad z fabułą swej powieści obchodzi się tak bezceremonjalnie, że o uratowaniu „Patrji", czyli o fakcie, na którym zbudował cały utwór — czytelnik dowiaduje się dopiero na setnej i którejś stronicy. Dlaczego?

Bo autora nie interesuje samo zdarzenie, ale pobudki, które skłoniły bohatera do takiego, a nie innego działania, oraz skutki, jakie pozostawił dokonany fakt na psychice osoby działającej. Wewnętrzne życie bohatera, jego przejścia, istota jego osobowości tak zaprzątnęły uwagę twórcy, że rozpoczyna formalne śledztwo. Z drobiazgowością zawodowego sędziego śledczego gromadzi cały szereg świadków i każe każdemu z nich oświetlać zdarzenie z indywidualnego punktu widzenia. Wyrażają tedy o Jimie swoje zdanie prócz Marlowa — t. j. tego, który opowiada całą historję — porucznik francukiej kanonjerki, kapitan Brierly, Stein i wielu, wielu innych.

Psychologja świadków nie jest rzeczą obojętną dla sprawy, a więc Conrad — niestrudzony, a bezstronny poszukiwać prawdy — skreśli wizerunek duchowy każdego ze świadków, przytoczy o nim przynajmniej kilka charakterystycznych anegdot, tak, że wszyscy wystąpią z niezmierną plastyką i odkryją swe dusze przed nami, aż do głębi.

Plastyka Conrada zdumiewa. Jedynie postaci Tołstoja i Sienkiewicza z równą siłą wrażają się swoim wyglądem, gestem, sposobem bycia w pamięć czytelnika. Miłośnicy powieści psychologicznej i wysokiej klasy artyzmu zanurzą się w dzieło Conrada z całą rozkoszą. Wątła jednakże nić akcji pierwszej części powieści, oraz nagłe skoki chronologiczne w akcji części drugiej sprawiają, że pełnię zadowolenia artystycznego osiąga się, czytając dzieło po raz drugi, t. j. wówczas, gdy się już dobrze przyswoiło sobie fabułę.

Trud powtórnego przeczytania wynagrodzi sowicie specjalny czar Conradowski, który spowija cały utwór swoistym romantyzmem, oraz egzotyka południowych krain, gdzie rozgrywa się akcja.

Tłumaczenie Anieli Zagórskiej pierwszorzędne, przewyższające trafnością i odczuciem ducha Conradowskiego tłumaczenia z przed lat kilkunastu.

J. Waśniewski

KSIĄŻKA DLA PROKURATORÓW

Krew płynie w naszych żyłach powolniej i nie tak żywo uderzają tętna w poczuciu zawiedzionej miłości, jak w krajach Południa. Chłodny klimat łagodzi namiętności i nie wciska tak szybko broni do ręki bez rozwagi i zastanowienia. Choć kto wie? Jest to właśnie wielki nierozwiązany do dzisiaj problemat, czy zbrodniarz taki działa pod wpływem silnego impulsu zamraczającego wszystkie władze umysłowe, czy też zbrodnia jego jest zgóry uplanowaną reakcją? Dodać do tego należy, że literatura piękna ze swoją apoteozą miłości, jako najwspanialszego uczucia ludzkiego, otoczyła zbrodniarzy tego typu pewnym nimbem romantycznej niezwykłości, bal bohaterstwa. Stąd wielka pobłażliwość w ich osądzie, która znajduje swoje echo w licznych uwolnieniach i to nietylko przez Sądy przysięgłych, ale i magistratury zawodowe. Przytem opinja publiczna jakże często usprawiedliwia najbrutalniejszy akt zbrodniczy na tle miłości, bez trudu rezygnując z zadowolenia, jakie daje uczucie zemsty, mieszczące się bądź co bądź w każdym wymiarze sprawiedliwości.

Zbrodnie takie są coprawda w Polsce zjawiskiem stosunkowo rzadkiem. Wyrastają one u nas raczej jako szaleńcza reakcja jednostki związanej sztywną i bezlitosną normą prawną w nierozerwalny węzeł z osobą niekochaną. Wciśnięta w nieznośny impas, po bezskutecznem borykaniu się, gotowa ona okupić wolność nawet za cenę mordu. Ale działają tu zupełnie inne motywy, a z niemi zmienia się również broń. Kiedy zazdrosny i opuszczony kochanek strzela, zabija publicznie z pewnym celowym — co już wielokrotnie stwierdzono — głośnym efektem, to związany bez możliwości rozwodu małżonek działa skrycie, potajemnie, choć równie skutecznie — zapomocą trucizny. Cicho i bez hałasu. Stąd cyfry statystyki tej zbrodni są niepewne i tworzą łatwą broń w ręku tych sfer, którym zależy na bezkrytycznym dowodzie, iż sakrament małżeństwa jest najlepszą rękojmią czystości obyczajów.

Choć u nas rzadki, to jednak bardzo ciekawie przedstawia się pierwszy typ zbrodni z punktu widzenia kryminologicznego. Ostatnia zaś praca kryminologa polskiego, Leona Rabinowicza, w języku francuskim *Le crime passionel**) jest ciężkim aktem oskarżenia w pierwszym rzędzie pod adresem społeczeństwa za jego pobłażliwość i bezlitosnem obnażeniem sprężyn działania u zbrodniarzy tego autoramentu. Autor jest pozbawiony sentymentu, który zaważył u wielkich teoretyków, jak Enrico, Ferri, na ich niezdecydowane w tej materji stanowisko, uznające z jednej strony zupełną normalność takich zbrodniarzy, a z drugiej — próbujący ich usprawiedliwić.

Leon Rabinowicz z rażącą nawet brutalnością sprowadza uczucie miłości do jego najprostszych źródeł, t. j. do popędu płciowego.

Po tem „zdemaskowaniu" motoru działania, wykazuje jego egoistyczną i materjalną pobudkę, próbującą się kryć pod wzniosłem, sublimowanem uczuciem. Tylko żądza zaspokojenia instyktu płciowego jest, zdaniem autora, motywem czynu zbrodniczego. Przybiera ona jedynie najrozmaitsze kształty i w tysiącznych odmianach znajduje swój wyraz. U jednego jest zadraśniętym egoizmem, który nie mógł się wyżyć w kierunku zamierzonym, u drugiego bezsilną zazdrością. Nie rzadko, jak w ciekawej powieści Michel'a Corday „Feux du couchant" poczucie seksualnej niemocy, która jaskrawo staje przed oczyma, jest przyczyną zbrodni. To stary pan o nieskazitelnej przeszłości, o spokojnem i niczem niezamąconem życiu, dobry ojciec i nienaganny dotychczas małżonek, porzuca dla młodziutkiej aktorki dom, rodzinę, popełnia najmożliwsze głupstwa, pali za sobą wszystkie mosty, by w chwili kiedy go owa aktorka opuści, pomścić ten krok zamachem na jej życie. Czyn tych ludzi znajduje swoje wytłumaczenie również w instynkcie płciowym. Usunięci od kilku lat

*) *Leon Rabinowicz*, docent de l'université de Géneve: „Le crime passionel". Préface de L. Cornil, procureur general a la Cour d'Appel de Bruxelles. Paris. Librairie de Sciences politiques et sociales M. Riviere.

poza nawias czynnej męskiej płci, odnajdują odrodzenie swej męskości w stosunku z przypadkową dziewczyną. Ale też tylko z nią. Opuszczeni, odczuwają natychmiast swój bezsilny uwiąd starczy i nie mogąc pogodzić się z tą myślą ,siłą chcą zmusić kochankę do powrotu, a gdy to się nie udaje, popełniają zbrodnię.

Wszędzie, gdziekolwiek i jakiekolwiek przybiera zbrodnia miłosna formy, źródło jej jest nawskroś egoistyczne i niskie — zdaniem autora.

Jeżeli chodzi o stan świadomości sprawcy, który bywa uważany powszechnie za działającego w kompletnem zamroczeniu umysłu, to wykazać usiłuje p. Rabinowicz na dwudziestu przypadkowo zebranych przykładach, że niema o tem mowy. Wszystkie zbrodnie bywają dokładnie i skrupulatnie obmyślane. Broń przygotowana zgóry, a i miejsce zbrodni wybrane jaknajdogodniejsze. Istnieje pełna świadomość dokonanego czynu. Nierzadko cyniczne przyznanie się do doznanej ulgi. Usiłowane samobójstwo, które zwyczajnie po dokonaniu takiej zbrodni następuje, jest jedynie dążeniem do upozorowania rzekomej skruchy. Świadczy o tem wysoko-procentowa ilość nieszkodliwych wystrzałów, choć śmierć ofiary jest dowodnem świadectwem sprawnej ręki zamachowca.

Dlatego osąd autora jest bardzo surowy. Uważa on pobłażliwość społeczeństwa za nieporozumienie, wywołane romantyczną literaturą, pod wpływem której uczucie erotyczne, będące w zasadzie równowartościowe z innemi namiętnościami, traktujemy łagodniej i jakby z poszanowaniem. Zbrodniarz tego typu powinien być karany — zdaniem autora — jak każdy inny. Niema tu miejsca na respektowanie go, gdyż pobudki są równie niskie, jak u pospolitych zbrodniarzy.

Książka jest świetna dla prokuratorów. Znajdą w niej oni najsolidniej zaopatrzony arsenał argumentów przeciwko tego rodzaju zbrodniarzom.

Czy jednak konieczność surowego karania ostoi się przed probierzem celowości kary? Każda zbrodnia ma swe dwa oblicza: indywidualne i społeczne. Przez pierwsze rozumiemy motywy działania (niskie lub wzniosłe), sposób dokonania czynu, zachowanie się zbrodniarza przed zbrodnią (premedytacja, czy bezwolny impuls), a wreszcie reakcja po dokonaniu czynu (skrucha, czy radość z doznanej ulgi).

O ile chodzi o stronę społeczną, to powinny nas interesować przedewszystkiem dwa momenty przy wymiarze sprawiedliwości: stopień niebezpieczeństwa zbrodniarza i celowość kary, którą mu aplikujemy.

P. Rabinowicz wziął przedewszystkiem pod rozwagę pierwszy probierz i zdarł zbrodniarza z namiętności miłosnej (Brak w języku polskim dokładnego odpowiednika pojęcia „crime passionel"; słowo „namiętność" jest zbyt szerokie. Czyżby znowu potwierdzenie rzadkości tego zjawiska w naszym kraju?) z tego piedestału iluzji, na który postawiły go wieki poprzednie, podziwiające w nim przedewszystkiem żar namiętności i siłę uczucia. Wykazał, że indywidualnie zabójca taki nie przedstawia żadnej wartości, jest egoistą, pobudki jego są niskie. Działa świadomie i nie zasługuje na żadne względy.

Choćbyśmy się na analizę motorów psychicznych autora zgodzili, sądzę jednak, że społeczne czynniki kary nie przemawiają tu za szczególną surowością.

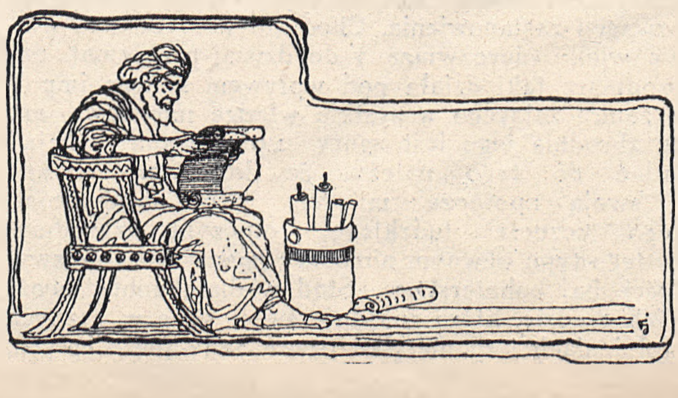
Zbrodniarz taki nigdy nie jest recydywistą. Zbrodni nigdy swej na tem samem tle nie powtarza. Zbrodniarz ten nie potrzebuje zatem poprawy. Pocóż go osadzać w długoterminowym więzieniu? Jego niebezpieczeństwo jest społecznie minimalne. Jeżeli prawo karne uważać będziemy za celową obronę społeczną, to w stosunku do takich zbrodniarzy winno ono być mniej surowe. Kto wie, może stąd podświadomie płynie ten prąd łagodności sędziowskiej wobec nich. Potępienie społeczeństwa i jego pobłażliwość są właśnie wartościami bardzo relatywnemi, w większości uzależnionemi od niebezpieczeństwa, jakie zbrodniarz będący na wolności stwarza dla normalnego i spokojnego życia. Jakże blisko jesteśmy źródła wszelkich ocen moralnych. Otóż to niebezpieczeństwo przy zbrodniarzu, który zabił z zadrości czy bólu opuszczenia, nie istnieje prawie wcale.

Tę słabą stronę swych argumentów poczuł, zdaje się autor, który należy do szkoły pozytywistów, a mimoto powraca, chcąc być konsekwetnym w swych wywodach, do oparcia celu kary na prewencji generalnej, na odstraszeniu innych od popełnienia podobnych czynów. Czy jednak kara jako środek prewencji społecznej spełniła kiedykolwiek swe zadanie, czy po to trzeba zbrodniarzy surowo karać? Wątpię. Takiemi zasiekami norm karnych obwarowarowane jest nasze życie, taką atmosferą zemsty i nienawiści tchnie wszystko wokoło nas, że dusimy się codziennie jej trującemi miazmatami. Taki bezwzględny i bezlitosny jest dziś wobec jednostki wymiar sprawiedliwości, mściwość społeczna kuje długoletnie więzy dla każdej słabości i popuszczeniu dyscypliny, że sądzę, nie trzeba jej dostarczyć świeżej pożywki. Tembardziej, gdy nie stwarza to żadnego dla społeczeństwa pozytywnego dobra.

**
*

Niechaj książka ta, która jest naprawdę interesująca i z talentem napisana, pozostanie książką dla prokuratora — przyniesie im wiele pożytecznych argumentów w szermierce słownej na sali sądowej, niech jej wpływ jednak dalej nie sięga i nie niszczy tej odrobiny łagodności społecznej, która nam pozostała. Surowości mamy aż nadto, pocóż ją bezpośrednio mnożyć?

Mgr. Izydor Reisler



U PODNÓŻA WIECZNOŚCI

Z TEKI POŚMIERTNEJ J. WŁ. DAWIDA

I. „*Dusza* w pojęciu szkolnej psychologji, jako substancja obdarzona określonemi własnościami i władzami nie dała się utrzymać — jest to pojęcie wprowadzające błędne tłumaczenia, zbyteczne naukowo, leżące poza wszelkiem doświadczeniem. Ale jest fakt jaźni — subjektu działającego, która nie da się wyłączyć, jest przedmiotem bezpośredniego doświadczenia. Ta jaźń jest przypuszczalnie żyjąca poza grobem, jako ośrodek i podmiot indywidualny. Ale ostatecznie ta jaźń w świadomości ogółu utożsama się z *duszą* — świadomość zwykła nie zajmuje się substancją, ale widzi w człowieku osobę, indywiduum, tak, iż ostatecznie możemy utrzymać tę nazwę duszy w znaczeniu popularności".

***

II. „Wysiłek, wyrzekanie się, brak, cierpienie jest wyższym pokarmem duchowego życia, aniżeli zmysłowe życie, uleganie namiętnościom, instynktom zmysłowym. W wysiłku, wyrzekaniu się, cierpieniu człowiek działa siłą duchową — myślą, wyobrażeniem, idealnym motywem, buduje w sobie zasób *głębszej energji duchowej*".

***

III. „Z poczucia ciągłości dwóch światów musi się rodzić pragnienie śmierci, zgodzenie się z nią. Lęk przed śmiercią jest następstwem pogrążenia się w życie zmysłowo-mózgowe. Rozluźnianie węzłów zmysłowych musi przytłumiać ten lęk, budzić pragnienie śmierci. Wogóle wszelkie wzmocnienie się duchowe pociąga za sobą wyrzekanie się życia — zbliżenie do śmierci. Ażeby umieć żyć — trzeba się wyrzec życia, umieć *niem pogardzić*".

***

IV. „Przyjęcie ciągłości dwóch światów najlepiej tłumaczy i godzi sprzeczności. *Zło, cierpienie, przypadek* są niepojęte z punktu widzenia ziemi, — równowagę przywraca świat drugi."

***

V. „Ona umarła*), ażeby mię odkupić — podnieść z tego stanu, na jaki skazywało ciało materjalne. Nic innego nie mogło pomóc: ostatnio próbowała pewnych otrząśnięć, budził się w niej protest. Aż w końcu ustaliło się to, co było istotą jej: poświęcenie, aż do śmierci. Była gra niewiadomych sił — akt miłości ostatni, który miał mię ocalić dla życia przyszłego".

***

VI. „Większość współczesnych żyje świadomością jednolinijną: wrażeń zmysłowych, myślenia objektywnego i logicznego. Nie troszczy się o zaświat, nie usiłuje dotrzeć *wewnętrznego sensu życia* i pogodzić go ze śmiercią. Jest to zadanie trudniejsze, rozleglejsze: objąć trzeba więcej elementów. Wtedy dopiero, gdy to ulegnie rozbiciu, gdy śmierć zagląda w oczy, albo gdy śmierć bliskiej osoby czyni to zagadnienie żywem, osobistem, — człowiek odrywa się od ziemskiej rzeczywistości, zaczyna myśleć o przyszłem. Mam przed sobą zadanie szczególnej trudności: rozerwać związki zmysłowe, zbudować nowy świat i w ten się świat się przeprowadzić. Potrzeba na to dużo siły i męstwa. Pragnę śmierci, marzę o niej — a tak trudno zabić się. Jest poprostu do pokonania elementarny instynkt życia. Ale w każdej jasnej chwili widzę, że to jest konieczn em, dobrem, rozumnem, jedynie nakazanem: nie można inaczej. Kiedy *umysł osłabiony*, znudzony — myśl ta słabnie zaciemnia się, zjawiają się wątpliwości".

***

VII. „Regulujemy już *urodzenia*. Powinno się regulować *śmierć*. Jest niedorzecznem umierać przypadkowo, kiedy przyjdzie chwila, albo pod przymusem — ze starości. Człowiek powinien rozważyć: co mu jeszcze zostaje w życiu, wtedy gdy ono traci wartość; gdy się staje ciężarem dla siebie lub innych, — powinien odejść dobrowolnie. Jak *gość, który nie przedłuża* odwiedzin do chwili, aż go wypraszają, ale w porę odchodzi, kiedy mu jeszcze radzi, kiedy zostawi po sobie miłe tylko wspomnienia".

***

VIII. „Kto wie, czy człowiek nie zaczyna przyszłego życia z tym zasobem, jaki wynosi z tego świata. Kto więc umiera w starości, może mieć przeto przykre życie przyszłe. Poza zboczeniami, ułomnościami, wadami organizmu, które ograniczają jaźń człowieka za życia, jest pewna jednak istota, która trwa, snuje się przez akty zmysłowe. Ona to daje aspiracje, ideały, dążenia, być może nigdy nie urzeczywistniane. Ona sprawia, że człowiek jest z siebie *niezadowolony*, że robi *sobie wyrzuty*. Jest to *ja* najbardziej duchowe, wewnętrzne, niezależne od organizmu. Tem ja pewnie człowiek żyje po śmierci".

***

IX. „*Intuicja* w stanie mistycznym działa, jak *instynkt*. Wartość więc poznawczą mistyki wyprowadzić należy z praw instynktu. Nie daje mistyka poznania teoretycznego, daje tylko poznanie praktyczne, czynne: co robić w tym szczególnym wypadku dla tego indywiduum. Nie mówi, co będzie potem, jaki jest cel działania, dlaczego tak, a nie inaczej. Jak instynkt, tak intuicja mistyczna zależna jest od pewnego stanu organizmu, wskazania jej występują tylko w związku z temi stanami i szczególnym układem otoczenia, z ich zmianą — ustępują. Jak jeden instynkt przytłumia drugi, tak intuicja *nieczynna* jest przy działaniu *woli i intelektu*, budzi się — gdy następuje *rozbicie życiowe*. Przez śmierć osoby bliskiej zjawia się przedmiot, zdolny instynkt obudzić— duchowe istnienie".

***

X. „Miała w sobie zawsze pewną gotowość śmierci, zaczątek jej. Stąd płynęła jej miłość ludzi, ofiarność, odwaga, lekceważenie i niepamięć o sobie. Jakgdyby już od początku wyrzekła się życia własnego, i dlatego łatwo jej było *żyć dla innych*. Ja to dopiero teraz zrozumiałem: kiedy przez refleksję, walkę wewnętrzną, doszedłem do tego, że *nie myślę* o sobie, wyrzekam się siebie, chętny jestem do *pomocy innym, czuję potrzebę* coś dla innych zrobić. Pogodzenie się ze śmiercią — jest *źródłem i warunkiem miłości*".

***

Niektóre, powyżej przytoczone myśli mają ścisły związek z wyznaniem J. Wł. Dawida, umieszczonem

---

*) Żona ś. p. J. Wł. Dawida, która zmarła nagłą i tragiczną śmiercią.

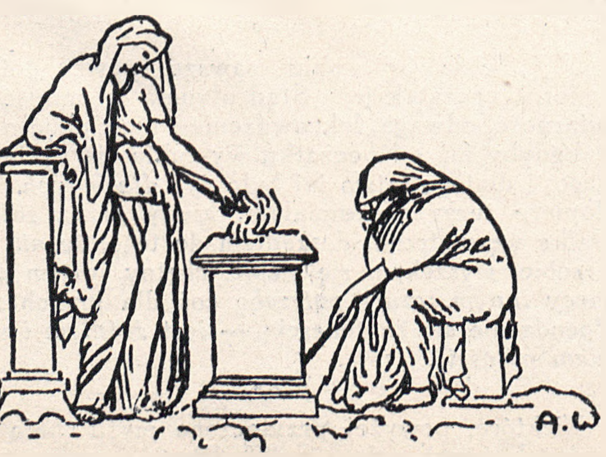
na str. 76 „Psychologji religji", oraz łączą się z jego przedśmiertną spowiedzią, drukowaną częściowo w szkicu biograficznym, poprzedzającym to dzieło.

Niewątpliwie myśli swoje spisywał J. Wł. Dawid nietylko dla siebie w celu sprawdzania natężenia i kierunku swoich stanów duchowych, ale umieszczał je także i dla innych, jako drogowskazy w krzyżowej pielgrzymce do poznania rzeczywistości duchowej; zapalał myśli swoje i zawieszał je jako światła wśród mrocznych kolumnad i nieznanych labiryntów mistycznego świata dla tych samotnych, cierpiących wędrowców, którzy tak, jak on znaleźć się w nim mogą.

J. Wł. Dawid w tem okrutnem, bezlitośnem odsłanianiu wnętrza swego ducha nie przestawał być na chwilę uczonym, poddawał badaniu swoje doświadczenia religijne, przenosząc je jakby na stół psychologji i pedagogiki eksperymentalnej, sprawdzał je wciąż na sobie do końca, jak sprawdza na sobie bakterjolog w laboratorjum działanie jakichś nowych szczepionek, lub preparatów. Chciał niewątpliwie, iżby ci, co po nim przyjdą i znajdą się też w cierpieniu u podnóża wieczności, trawieni gorączką rozdzierania tajemnicy zaświatów, byli bogatsi od niego o całe jego własne doświadczenie, które mu życie dało.

Gdyby było inaczej, gdyby swoje najbardziej osobiste przeżycia i spostrzeżenia chciał zabrać do grobu, — nie prowadziłby tak starannie swych notatek dziennych i nie zostawiał ich potomnym. Zresztą, o ile sądzić można według ducha jego myśli, według wzniosłej treści jego stanów wewnętrznych, — opartych na wielkiej miłości do ludzi, połączonej z ciągłem pragnieniem czynienia czegoś dla innych, — to niema wątpliwości, że J. Wł. Dawid cały dorobek swe trudu życiowego i pouczające odbicia swoich cierpień pragnął przekazać następcom. Spisując tak pilnie swoje spostrzeżenia z wędrówek samotnych po szczytach duchowych czynił to nadto w tej samej intencji, z jaką prowadzą swój dziennik podróży ci podbiegunowi badacze, którzy gnani świętością sprawy wśród pustyń lodowych i odmętów śnieżnych, Spisują wszystko, co widzą do ostatniego tchnienia. Przejęci wzniosłem uczuciem, pragną jeszcze w obliczu niechybnej śmierci nieść korzyść tym wszystkim innym podróżnikom i badaczom, którzy w przyszłości sięgać będą dalej dla wydarcia tajemnic niedostępnych krajów.

Henryk Lukrec



PROWOKATORZY

(dokończenie)

Trzecie moje spotkanie z prowokatorem było najbardziej skomplikowane i związane jest ściśle w moich wspomnieniach z miłą i czystą postacią Marusi Spiridonowoj, o życie której otarł się ten prowokator.

Był to tym razem— niestety —Polak, przynajmniej z pochodzenia, nazywał się Dziekoński. Pamiętam doskonale: Piotr, syn Piotra, Dziekoński, w paszporcie miał „iz dworian Grodnienskoj gubiernji" i „potomstwiennyj dworianin".[1])

Zetknęliśmy się już w Odesie, po moim powrocie z Syberji, w jesieni 1917 roku. Weszłam wówczas do odeskiego komitetu partji S. R. Po kilku zaledwie dniach mej pracy w organizacji odeskiej otrzymaliśmy w komitecie wiadomość, zdaje się z Krymu, od jednego z członków komitetu, który wyjechał tam w sprawach organizacji, o Dziekońskim, również członku odeskiego komitetu, że jest prowokatorem. Wiadomość była podana listownie przez umyślnego posłańca. Dziekoński był wówczas nieobecny w Odesie, nie znałam go, słyszałam tylko o nim cuda od towarzyszy: miał to być niesłychanie dzielny rewolucjonsta, świetny mówca i agitator, człowiek o nadzwyczajnym uroku osobistym. Wiadomość ta zrobiła piorunujące wrażenie na członkach komitetu, którzy znali Dziekońskiego. Sziffer, przewodniczący komitetu, lewy eserowiec, nie chciał wierzyć. Widać było, że jest to poprostu zbyt bolesne przeżycie dla niego; powtarzał wciąż: „Być nie może... tak dobrze wyobrażam sobie tę jego postać, to kepi na głowie, te zacięte usta, te uczciwe, piękne oczy". Florowska, młoda jeszcze kobieta, mężatka, zmieniła się w twarzy tak okropnie, że zdawało się, traci przytomność. Dowiedziałam się potem, że Dziekoński mieszkał u niej i był jej bardzo bliski. Wogóle był to mężczyzna, który łatwo zdobywał kobiety.

Dowody jego winy były bezsporne, szczegółów już nie pamiętam. Radziliśmy właśnie nad tem, co teraz robić. Większość nas miała orjentację lewoeserowską, Dziekoński reprezentował kierunek niezmiernie radykalny, był to znowu cios dla naszego lewego skrzydła w organizacji, który odrazu mógł być wyzyskany przez prawicowców. Kiedyśmy rozważali te wszystkie, bardzo przykre okoliczności, przyniesiono nam z miasta własnoręczny list Dziekońskiego. Dziekoński wiedział już o odkryciu i doniesieniu do komitetu, wrócił już do Odesy i pisał do nas z hotelu, w którym zamieszkał. Podał nam swój adres i prosił o naszą decyzję. List ten utkwił mi w pamięci. Zwracał się do nas, jak do towarzyszy, był napisany z wielkim literackim talentem. Opisywał dzieje upadku i prosił o uwzględnienie okoliczności łagodzących: młodość, nędza, długotrwałe głodowanie, pokusa, próba... wciągnięcie się.... A teraz — tak nas upewniał — niema dla niego życia bez służby rewolucji, bez oddania jej wszystkich sił... Czekał na odpowiedź.

[1]) Nie mieliśmy żadnych podejrzeń co do wiarygodności jego paszportu. W Polsce natomiast spotkałam się z rodziną Dziekońskich w grodzieńszczyźnie, sąsiadującą z rodzinami Korczyców i Krahelskich: nie znali owego Piotra. Wyglądał zresztą na człowieka zruszczonego.

Sziffer, pochylony nad listem już przeczytanym, prawie płakał. Był to uczciwy i czysty rewolucjonista, odczuł ten zawód jako straszny cios. Nie myślał o jakiejś tolerancji, ale nie mógł wyrwać odrazu uczucia przyjaźni dla tego człowieka i cierpiał bardzo. Wszyscy zresztą jednogłośnie byliśmy zdania, że należy go natychmiast aresztować i uniemożliwić mu powrót do pracy dla rewolucji: tem bezwzględniej, im bardziej był utalentowany. Osobiście uważałam, że w tych wypadkach nie może być żadnego usprawiedliwienia, ani żadnej tolerancji, gdy się miało do czynienia z udowodnioną służbą w ochranie. Zdecydowaliśmy pójść do niego i aresztować go. Komitet wybrał do tego celu Sziffera, marynarza Panczenko, mnie i Szereszewskiego, eserowca o orjentacji ultraprawicowej. Pamiętam, jak mnie uderzyło, że Szereszewski nie okazał żadnego zdziwienia, gdy się dowiedział o tem odkryciu: odniosłam ciężkie wrażenie, że różnice i tarcia w partji zaszły już tak daleko, iż prawicowcy niemal cieszyli się z tej kompromitacji lewego skrzydła. (Było to przed październikowym przewrotem). Poszliśmy do wskazanego hotelu i Szereszewski, który piastował w Odesie jakąś godność administracyjną, zażądał od właściciela hotelu księgi meldunkowej i wskazówki, gdzie szukać Dziekońskiego. Udaliśmy się na czwarte piętro, pod wskazane drzwi. Zapukaliśmy i weszliśmy. Dziekoński siedział przy stole. Zrozumiał odrazu wszystko. Nie wstał. Sziffer siadł po drugiej stronie stołu, patrząc nań ciężkim wzrokiem.. My pozostali — staliśmy. Sziffer powiedział: „Oddajcie broń, Piotrze Piotrowiczu". Tamten odparł: „Nie mam broni. Jaka jest decyzja Komitetu?" Pamiętam, że spojrzał przytem na nas i wzrok jego bystrych oczu spoczął na chwilę na mojej, obcej mu, twarzy. Sziffer odpowiedział: „Aresztujemy was, rozumiecie, że to jest konieczne". Dziekoński spytał: „Poco? komu to potrzebne? czyż niema innego wyjścia?" Zdziwił mnie tupet i swoboda tego człowieka. Wysoki, zręczny, o bladej twarzy, męskich regularnych rysach, odrzuconych wtył włosach, robił zewnętrznie bardzo dodatnie wrażenie. Głos miał też dźwięczny, wyrazisty i bardzo stanowczy. Rzucił okiem na marynarza i zauważył: „I wy tu też, Panczenko!" jakby z wyrzutem. Pomyślałam wtedy ze złością, jak ten łotr grał na temperamentach i odwadze marynarzy.

Sziffer wstał i rzekł: „Z wami zostanie tu Panczenko. Ja pójdę wydać rozporządzenie co do waszego aresztu. Żegnajcie". Dziekoński zawołał: „Nic mi nie powiecie?" Tamten odparł poprostu: „Niema o czem już mówić". Było mu zbyt ciężko. W drzwiach obrócił się i z olbrzymim wyrzutem, dodał: „Zrobiliście partji, ruchowi rewolucyjnemu wielkie zło"...

***

Niestety, sprawa Dziekońskiego nie skończyła się tak prosto. Byliśmy właśnie w przededniu przyjazdu Marusi Spiridonowej. Towarzysze wiedzieli, że Dziekoński w Petersburgu, podczas zjazdu Rad, poznał Marusię i inne katorżanki i pozyskał sobie również przyjaźń Marusi. Sziffer wyczuwał widocznie, że Dziekoński zaangażował Marusię w poważne uczucie, bo na dworcu, kiedyśmy przyjechali ją powitać, powiedział do mnie: „Nic do niej o nim nie mówcie... ja sam... ja boję się wstrząsu".

Z Marusią Spiridonową było się odrazu tak, jakby po latach znajomości. Wsiedliśmy do samochodu komisarza miasta, eserowca Charito, który wyjechał wraz z nami przywitać Marusię. W samochodzie byli Charito, Sziffer, Marusia, ja i jeszcze ktoś z mężczyzn — nie pamiętam. Mówiliśmy o postronnych rzeczach, ale z twarzy jej nie schodziło napięcie i jakieś znieruchomiałe zapytanie. Sziffer zresztą nie spuszczał z niej oczu. W pewnej chwili ona, patrząc mu w oczy i uśmiechając się, zawołała: „Nie! nie! to być nie może!" Odparł jej miękko: „Marusia — to tak jest..." Zaprzeczyła namiętnie: „O, uwierzyliście oszczercy, plotkom, — wroga akcja". „Mamy jego własnoręczne przyznanie, list..." Krzyknęła krótko: „Tak?!... zmusiliście go?!!"

W tym momencie przemknęło mi przez myśl, że Marusia może być dla nas niebezpieczna. Sziffer tłomaczył jej z wielką dobrocią: „Droga... nic podobnego... napisał sam, pierwszy do nas... dobrowolnie... opisał całą historję... przecież wszystko wam opowiem"... Nie słuchała, tylko wyciągnęła rękę: „Dajcie mi w tej chwili ten list". Dał jej. Rzuciła okiem. „Tak. To jego pismo". Pochyliła głowę, doszczętnie złamana, i nie mówiła już nic; przez całą drogę i później jeszcze, w mieszkaniu, milczała. Zawieźliśmy ją do mieszkania, licząc na to, że z nią omówimy plan jej pobytu, wystąpień i t. p. Musieliśmy jednak zostawić ją z Szifferem, bo nie była w stanie o niczem mówić: chciała znać szczegóły sprawy Dziekońskiego.

Później był z tem wielki kram. Pierwszego wieczoru przyszła Marusia z wielkiem opóźnieniem na zebranie organizacyjne i z miejsca, ku naszemu przerażeniu, zaczęła od Dziekońskiego. „Wracam od niego — mówiła — wiecie wszyscy od kogo... z więzienia... Znalazłam go bardzo nieszczęśliwym, bo to prawda, on był prowokatorem, ale — towarzysze! on zachował żywą, piękną, szlachetną duszę. W imię tej duszy musimy go ratować dla rewolucji" i temu podobne, straszliwe, ze szlachetnych pobudek mogące płynąć, brednie...

Stałam zawsze na tem stanowisku, że prowokatorzy — to gatunek ludzi, niezależnie od indywidualnych odchyleń, — którym nie może darować rewolucja, których nie można nigdy z powrotem przyjąć do ruchu wolnościowego. Stanowisko takie miało tem więcej uzasadnienia w tym pierwszym okresie, kiedy wszystko było jeszcze tak mało ugruntowane, tyle niebezpieczeństw groziło zewsząd, kiedy tak chodziło o prawidłową orjentację mas....

Wszyscy w Komitecie podzielali to stanowisko. Marusia jednak, wbrew naszej opinji, przez swe stosunki, uwolniła i wywiozła Dziekońskiego z Odesy. Słyszeliśmy potem, że był gdzieś na południu, podobno nawet z nią. My ze swej strony — zrobiliśmy, co do nas należało: ogłosiliśmy o nim wszystko, ażeby ostrzec przed nim. Jednak imię i autorytet rewolucyjny Marusi Spiridonowej był tak wielki w Rosji tego okresu, że przy jej pomocy mógł Dziekoński niewątpliwie dostać się z powrotem do ruchu rewolucyjnego.

We wspomnieniach moich o ludziach z rewolucji rosyjskiej nazawsze już przylgnęła ta postać utalentowanego, świetnego prowokatora do ujmującej, miłej, czystej postaci Marusi, podobnej wtedy jeszcze raczej do małej dziewczynki. Była szczuplutka, drobna, z jasnemi oczami, z ustami, ułożonemi w mieszany wyraz męczeństwa, ascetyzmu i zażenowania...

Marusia Spiridonowa, jak wiemy z historji, prze-

szła niepospolitą udrękę w ręku żandarmów i w więzieniu. Wyrobiło to w niej wielkie przesubtelnienie, dużą skłonność do mistycznych prawie zagłębiań się w przeżyciach duchowych, swoich i cudzych. W jej dążeniu do rehabilitacji Dziekońskiego grała rolę nietylko osobista, jak sądzę, bliskość do tego człowieka, ale również ta charakterystyczna dla Rosjan sympatja dla idei *odkupienia i umorzenia grzechu przez cierpienie*.

Nigdy już więcej nie spotkałam Marusi Spiridonowej.

Na tem kończę swe wspomnienia o prowokatorach, napotkanych w ruchu rewolucyjnym. Te różnorodne ich sylwety, nieprzeciętne zresztą, żyją jeszcze dotąd tak mocno w moich wspomnieniach, że przy poruszeniu ich w pamięci, wywołują to samo głębokie i jednolite uczucie, jak przed piętnastu laty: nienawiść.

Halina Krahelska

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Przeprowadzone w części Hiszpanji wybory do ciał samorządowych przyniosły zwycięstwo grupom opozycyjnym, na które składają się z jednej strony — stronnictwa klerykalno-prawicowe, a z drugiej lewicowo-anarchistyczne. Wybory objęły tylko nieznaczną część kraju i wobec tego nie upoważniały do czynienia żadnych wniosków uogólniających.

Ale reakcja na całym świecie, a w tej liczbie i nasza, swojska, westchnęła z ulgą, przepowiadając bliski i, oczywiście, „haniebny" koniec republikańskiemu rządowi Hiszpanji.

Wkrótce potem kortezy, przezwyciężając wściekłą obstrukcję prawicy, uchwaliły jedną z zasadniczych ustaw wykonawczych do zasady konstytucyjnej: o oddzieleniu kościoła od państwa. Ustawa ta likwiduje szkolnictwo kościelne, wyznacza terminy prekluzyjne dla istnienia szkół religijnych początkowych i średnich, wprowadza całkowitą laicyzację oświaty.

Wobec tego zgrzytanie zębami na rząd hiszpański, który „ignoruje" głos wyborców, jeszcze wzmogło się. Nagła radość ogarnęła tych wszystkich wrogów nowej Hiszpanji, gdy dowiedzieli się, że prezydent Alcala Zamora udzielił dymisji gabinetowi Azany i usiłuje powołać do życia gabinet oparty na szerszej koalicji. Gabinet Azany opierał się na koalicji grup radykałów socjalnych, akcji demokratycznej i socjalistów z poparciem katalończyków i grupy federalistów. Przewidywano, że ten blok rozpadnie się, a za to do nowej większości wejdzie grupa radykałów p. Lerroux, która dość wyraźnie zaczyna skłaniać się ku reakcji.

Pod adresem p. Alcali Zamory płynęły już z łamów prasy reakcyjnej całego świata słowa pochwały i zachęty; widać było gotowość do zapomnienia p. Zamorze, że podpisał ustawy antyklerykalne i o laicyzacji szkolnictwa.

Ale tu spotkał reakcję wielki zawód. Prezydent Hiszpanji wprawdzie rozmawiał z leaderem prawicy republikańskiej, ale misję formowania gabinetu powierzył dwukrotnie socjalistom p.p. Besteiro (przewodniczący kortezów) i Prieto (b. minister). A gdy próby tych panów zawiodły, prezydent Hiszpanji powołał ponownie do władzy p. Azanę. Ten zaś sformował gabinet, oparty na poprzedniej koalicji z dodaniem tylko wśród ministrów jednego federalisty.

Rząd Azany wrócił do władzy, wbrew przepowiedniom czarnego obozu i śmiało, oparty na woli większości narodu, prowadzi swoje dzieło.

W ciągu 17 miesięcy i 23 dni rząd Azany przeprowadził przez kortezy: 365 ustaw, a w tej liczbie — reformę rolną, nowy kodeks małżeński (rozwody i śluby cywilne), ustawę o izbach pracy regjonalnych, ustawę o umowach o pracę, ustawę o oddzieleniu kościoła i państwa oraz ustawę o kongregacjach i szkołach wyznaniowych.

Ten krótki wyciąg z ustawodawstwa gabinetu Azany dostatecznie tłumaczy, skąd tak często biorą się przepowiednie o upadku tego rządu, o załamaniu się rewolucji w Hiszpanji i t. p. „nowinki" chętnie powtarzane przez jednych świadomie, a przez innych bez zrozumienia, dlaczego i poco szerzy się te wieści.

***

Hitleryzm przybiera coraz bardziej rolę idei mesjanistycznej, która ma zbawić świat i tak ujęta doktryna znajduje tu i owdzie poza granicami Niemiec wiernych adeptów i naśladowców. Dodaje to pychy i animuszu działaczom partji nacjonal-socjalistycznej. Tem zapewne można sobie wytłomaczyć sławetny memorjał Hugenberga na konferencji londyńskiej, w którym objawia się ex cathedra nowa prawda: wszystkie narody są mniej warte, jedne tylko Niemcy mają walor i tylko o nich należy troszczyć się, jeżeli myśli się o poprawie losów ludzkości. Byleby Niemcom dać wszystko, czegoby chciała partja hitlerowska, to też wszystko będzie rozstrzygnięte. Oni skolonizują i uszczęśliwią siebie i cały nic nie warty świat.

Poważna niegdyś *Vossische Zeitung* w artykule wstępnym tłomaczy narodowi, że „das Führer Prinzip" (zasada wodzostwa), wprowadzona przez hitleryzm, siłą rzeczy wysuwa na czoło najlepsze jednostki. Najlepszą konstytucją i najlepszym ustrojem jest ten — pisze *Vossiche Zeitung* — który wysuwa najlepsze głowy do czołowego i wpływowego stanowiska w społeczeństwie.

Przy ustroju demokratycznym i parlamentarnym — wedle wywodów cytowanej gazety — ten ideał jest nie do osiągnięcia, bo decyzje zależą od chwiejnej większości ludzi, dopiero gdy przychodzi jednostka odpowiedzialna do władzy wszędzie, poczynając od komórki najniższej (gminy), aż do czołowych stanowisk w państwie, wówczas elita wydobywa się na wierzch.

Ktoś gotów byłby w to uwierzyć „na niewidzianego", ale tymczasem ci, co zbliska widzą nowe Niemcy, obserwują coś wręcz przeciwnego: nie elita, nie wybitne i godne odpowiedzialności jednostki, a przeciwnie wszystkie nieudolne miernoty wznoszą się w górę hierarchji partyjnej, rządzącej narodem niemieckim.

Namiestnik turyngijski na jednym z nieustających wieców hitlerowskich oświadczył dn. 18 ub. m.:

— Zabraniam wam stanowczo wszelkiej tolerancji, istnieje tylko jedna myśl i jeden program dobra dla narodu niemieckiego — jest to program nacjonalistyczny: kto myśli inaczej, ten jest zdrajcą interesów narodu.

Czy trzeba co dodawać do tego dzikiego oświadczenia, aby zrozumieć treść i skutki idei „wodzostwa" w Niemczech?

Manja, szał, które ogarniają wyznawców tej idei będą prowadzić Niemcy do coraz nowych zatargów we wszelkich dziedzinach współżycia międzynarodowego: wczoraj znaleźli się oni poza Międzynarodową Federacją Dziennikarzy, dziś — opuszczają Międzynarodową Konferencję Pracy w Genewie, jutro, kto wie, czy nie będą musieli opuścić Ligę Narodów. Zdobycie przynależności do niej na równych prawach uważali przecież w swoim czasie za wielki sukces.

Wewnątrz kraju można pięścią i kartaczownicą, aresztem „ochronnym" i torturami wyrobić sobie stanowisko „elity" i „nieomylnych" przywódców, ale utrzy-

mać się w tej roli na terenie międzynarodowym nie można. Nie pomaga nawet, jeżeli na eksport zmienia się nieco swój wygląd i np. do Londynu wysyła się paru ekspertów — pochodzenia nie-aryjskiego, a korespondentów zagranicznych prasy niemieckiej zapewnia się, że „warunki przynależności do Reichsverbandu (pochodzenie aryjskie) będą nieco złagodzone w stosunku do tych, którzy są trudni do zastąpienia".

Takie gesty na tle wywodów memorjału Hugenberga i nieprzerywającego się ani na chwilę kalejdoskopu wydarzeń w Rzeszy, nikogo nie mogą wprowadzić w błąd. Hitlerowski system wodzostwa zawodzi zupełnie, bo wysuwa na czoło ludzi nietylko okrutnych, ale ograniczonych i bezmyślnych.

St. Gr.

LISTY DO »EPOKI«

Szanowny Panie Redaktorze!

Nieznana mi instytucja p. n. „Polska Kultura i Praca" (Warszawa, ul. Długa 47 m. 12), nadesłała mi ulotkę, w której wskazuje na to, że „przeżywamy obecnie wyjątkowo ciekawe i poważne czasy pod każdym względem. To co ongiś działo się na przestrzeni dziesiątków, a nieraz i setek lat, dziś odbywa się w ciągu *niespełna* (podkreślenie moje) kilku miesięcy". Dalej zwraca uwagę, że „prąd nowoczesny, t. zw. XX wiek, nie pominął także sposobu naszego myślenia, wysławiania się, głównie utrwalania myśli na papierze". Mowa tu o ortografji. „Musimy przyznać — głosi P. K. P. — że nasza ortografja (pisownia) należy do najbardziej zawikłanych w Europie. Wyczuwaliśmy oddawna potrzebę jej uproszczenia. Tego samego zdania była Polska Akademja Umiejętności, wprowadzając niektóre zmiany. Jednakże posunięcia naszej Akademji są niewystarczające". Dowiadujemy się następnie, że „powstał specjalny Komitet Organizacyjny, który ma za zadanie utworzenie wielkiego „Stowarzyszenia zwolenników nowopolskiej pisowni". Uzyskano w stolicy poparcie kilku organizacyj robotniczych i ludowych, które czekają na ukazanie się naszych broszur i tygodnika p. t. „Nowa Polska", aby przyłączyć się do wspólnej akcji. Nie jest to więc jakaś dorywcza impreza, lecz poważna akcja, zakrojona na olbrzymią skalę."

Jak ma wyglądać ta „nowopolska pisownia", orjentuje zadrukowana odwrotna stronica ulotki. Wybieram niektóre zdania:

„niema takiego naučyciela i učnia ktuży by nienażekali na wšystkie powiklania našej dotyhčasowej pisowni. — zupełnie świadomie powiękšamy ciągle haos, twożąc coraz to nowše systemy i metody, pšeważnie rozhodzi się o to, čy słowo dane należy pisać pšez „o kreskowane", cy pšez „u zwyczajne", z małej lub dużej litery. — spotykamy rużnice w zdaniach na temat pohodzenia wyrazuw, zawierających „h, ch, ż, rż".

„...w interesie ogułu naučycielstwa i rodzicuw, w interesie władz i całego społečeństwa leży kategoryčńe zerwanie ze średniowiečnymi pšesądami gramatyčnymi". naukę tšeba i skrucić, a wtedy i samo życie będzie znośniejše". It.d.

Ponieważ „P. K. P." prosi o przesłanie jej „fachowych uwag", z których ma zamiar z „wdzięcznością skorzystać" przy „ostatecznej redakcji „Nowopolskiej pisowni", czynię zadość życzeniu z prawdziwą „pšyjemnością".

Przedewszystkiem proponuję z uwagi na to, że akcja „zakrojona jest na olbrzymią skalę", ażeby Komitet Organizacyjny zajął się w pierwszym rzędzie uproszczeniem pisowni naprzód angielskiej, potem francuskiej, następnie tureckiej, a wkońcu polskiej, jako, że pisownia nasza „należy do najbardziej zawikłanych w Europie", więc należałoby przedsięwziąć tę niebezpieczną operację po szeregu doświadczeń z mniej zawikłaną pisownią w Europie. Uczniowie przez ten czas będą wprawdzie w dalszym ciągu „nażekali" na wszystkie powikłania naszej „dotyhčasowej" pisowni, ale pocieszy się ich tem, że naukę się „skruci", a wtedy i samo życie będzie znośniejsze...

Co do istotnie „fachowych uwag", to ażeby nie tworzyć „coraz to nowszych systemów i metod" — radzę dla pozbycia się wogóle wszelkich systemów zastosować następujące zasady:

1. fonetyczna pisownia bez reszty,
2. wyrzucenie miękczącego „i",
3. utrzymanie w mocy wszystkich innych zasad „pisowni nowopolskiej".

W przykładach przedstawiłoby się to następująco:

„muw do mńe jesče...

„od śmehu boli mńe bżuh...

„gdźe śę rusz, wšędźe zapah swojskih rusz...

„wjesz mi, że głupoty luck'ej nie wytempisz, hoć byś strzelał z obležničyh wjesz, bo to taki zwjesz, hoć mu utneš łep — drugi rośńe skoro, a ten ućęty rośńe w dźeśęćoro"..

Skutek takiej pisowni będzie prawie piorunujący. W „niespełna kilka miesięcy" każdy człowiek stanie się niespełna rozumu. Będzie to drugi dowód, że „prąd, t. zw. wiek XX", nie pominął także sposobu myślenia.

Łączę wyrazy poważania

Sławomir Jański

Grójec, 24.VI. 1933 r.

UFF! GORĄCO!

Nadeszło lato. Wcale się nie spostrzeżemy, kiedy nastaną upały, a z niemi dla tych, którzy zmuszeni będą przebywać w otoczeniu rozpalonych murów miasta — udręka. Biuro wydawać nam się będzie dusznem, praca nudną, wszyscy niesprawiedliwi. Z ulgą będziemy myśleć o odpoczynku w domu. Tymczasem, zdenerwowanie jakie zastajemy w domu, nie da się porównać z tem w biurze. Służąca robi się z dnia na dzień zuchwalsza, obiad nieudany, administrator upomina się kilkakrotnie o komorne, żona skarży się na ból głowy. Uciekamy więc do gabinetu, aby wtłoczyć pękającą głowę i tętniące skronie w poduszkę fotelu. Jedyny przyjaciel, to papieros. Czujemy jednak, że w czasie upałów nikotyna jeszcze więcej rozdrażnia nam nerwy, niemniej jednak denerwuje nas brak papierosa. Jak na to poradzić?

Otóż jest na to rada. Polski Monopol Tytoniowy fabrykuje mechanicznie odnikotynowane papierosy. Nie chodzi tu o żadne watki czy filtry, które bynajmniej nie dają pożądanych rezultatów, lecz o naprawdę chemicznie odnikotynowane papierosy. Popularniejsze gatunki są w sprzedaży, inne zaś można dostać na zamówienie w ilościach od 500 sztuk za dopłatą 1 grosza od sztuki.

Od administracji

Przypominamy Sz. Czytelnikom, że czas odnowić prenumeratę na 3-ci kwartał 1933 r. Czytelnicy, którzy nadeślą przedpłatę, unikną przerwy w otrzymywaniu pisma.

Prenumerata kwartalna — zł. 6 (Konto P.K.O. Nr. 26.630.)

Do numeru niniejszego dołączamy blankiet P. K. O.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Panu dr. St. K. we Lwowie. Możemy zadecydować po otrzymaniu rękopisu.

Pani Marji Z. w Częstochowie. Dziękujemy serdecznie.

Panu Zdzisławowi K. w Poznaniu. Będziemy o tem pisali.

Panu Henrykowi W. w Warszawie. Nie do druku. Rzecz rozwlekła, styl patetyczny. Wciąż powtarzamy: nic lepszego, niż prostota słowa.

Pani Anieli M. w Warszawie. Wszystkim wysłaliśmy.

Panu Kazimierzowi L. w Bydgoszczy. Znajdzie Pan w jednym z najbliższych numerów „Epoki".

Panu Stefanowi W. w Łodzi. To nas nie przeraża. Wiemy zgóry, jakiej „polemiki" można się spodziewać ze strony tego rodzaju świstków.

Panu Ignacemu L. w Radomiu. Weźmiemy pod uwagę.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Marjan Manteuffel: Kapitalizm, socjalizm i katolicka doktryna społeczno-ekonomiczna na tle katastrofy świata. F. Hoesick. Warszawa 1933.

Paweł Gart. Zachorowałem... Powieść. F. Hoesick. Warszawa 1933.

K. Wrzos: Oko w oko z kryzysem. Reportaż z podróży po Polsce. F. Hoesick. Warszawa 1933.

Wacław Makowski: Rewizja umowy społecznej. F. Hoesick. Warszawa 1933.

Archiwum kryminologiczne. Tom I. Zeszyt I. Kwartalnik poświęcony kryminalogji, kryminalistyce i prawu karnemu. Warszawa 1933.

Zygmunt Falkowski: Cyprjan Norwid. Słowo wstępne Stanisława Pigonia. Gebethner i Wolff. Warszawa 1933.

H. Daniel-Rops: Dusza w mroku. Powieść. Gebethner i Wolff. Warszawa 1933.

Wacław Berent: Pisma. Tom VI i VII. Żywe kamienie. Gebethner i Wolff. Warszawa 1933.

Witold Bronowski: Konflikt chińsko-japoński w świetle nowych wydarzeń. Wydawnictwo kwartalnika „Wschód". Skład Główny w Domu Książki Polskiej. Warszawa 1933.

TREŚĆ NUMERU





REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. OKÓLNIK 11 — TEL. 285-52 — KONTO P.K.O. 26.630.

REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godz. 17 do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.
PRENUMERATA kwartalna z przesyłką zł. 6.— zagranicą kwartalnie zł. 7.50 — numer pojedyńczy 60 groszy.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: JÓZEF WASOWSKI Z.- 425 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka Warszawa, Ordynacka 3.